

ROZDZIAŁ I

Promienie letniego, gorącego słońca wpadały przez okna do wnętrza eleganckiej, urządzonej z gustem pizzerii. Restauracja sprawiała wrażenie bardzo ciepłej. Ściany pomalowane były w stonowane, jasne kolory, a wystrój upodabniał lokal do tych przytulnych włoskich knajpek, w których pachnie świeżo wypieczoną, przepyszną pizzą. Gdzieś w tle słychać było magiczne melodie starych piosenek. Obecnie z głośników płynęły rytmiczne takty *Get Ready* zespołu Temptations. Stoliki rozlokowano w równych odległościach od siebie. Między nimi stały parawany pozwalające zachować odrobinę prywatności, gdy robiło się tu naprawdę tłoczno. Teraz, w godzinach przedpołudniowych, w pizzerii nie było prawie nikogo. Była tylko dwójka młodych ludzi.

On – młody, łysy chłopak ubrany w koszulkę z krótkim rękawem i w czarne bojówki – siedział przygarbiony, ukrywając twarz w dłoniach. Wyglądał, jakby nad czymś zastanawiał. A zastanawiał się nad nią... Ona – dziewczyna przy kości, ubrana w strój z fabryki koszmarów – wyglądem przypominała lalkę Necro Barbie. W jej postaci przeważał kolor czarny i różowy. Na rękach miała kilka prostych blizn, a na twarzy – czterdzieści kilogramów zaprawy murarskiej oraz tynku szlachetnego, które w założeniu miały ją upodobnić do człowieka. Niestety założenia te nie osiągnęły spodziewanych efektów.

Razem z nią była też jej fryzura. Wyglądała, jakby ktoś jej przydzwonił w łeb z podkaszarki do trawnika. Koncesjom sztuki nowoczesnej ten wytwór znany jest bliżej jako fryz w stylu manga, co naszemu bohaterowi kryjącemu twarz w dłoniach mówiło tyle co łacińska nazwa chmury burzowej. Można by pomyśleć, że chował on twarz, aby oszczędzić sobie widoku, ale jak już wspomniałem, on się zastanawiał.

Rozmyślał, jak doszło do tego, że siedzi teraz z emo w jednej restauracji i czeka na pizzę, którą wspólnie zamówili. Odpowiedź nie nadchodziła... Nadeszło jednak coś innego. Była to chwila zrozumienia, która zaowocowała pewnym postanowieniem. Chłopak poprzysiągł sobie, że już nigdy w życiu nie umówi się przez internet z dziewczyną na randkę w ciemno. I właśnie wtedy, w tej chwili zadumy, nadeszło coś jeszcze. Telefon komórkowy, który nasz bohater położył na stole, zabrzączał i zawibrował. Chłopak chwycił go z prędkością błyskawicy, odsłaniając połowę swojej czerwonej ze złości twarzy. Jednym okiem odczytał nazwę nadawcy.

Choco.

Murek przeszedł do treści: *Długo ci tam, kurwa, jeszcze zejdzie? Ja już skończyłem 15 minut temu.*

Teraz z kolei zdenerwowanie ustępowało miejsca zniecierpliwieniu. Murek bowiem dobrze wiedział, że musi działać. W końcu nie umówił się na tę randkę dla rozrywki. To wszystko miało czemuś służyć.

Kiedy chłopak zastanawiał się, jak wybrnąć z tej patowej sytuacji, którą inni nazwaliby ciemną dupą, na stole pomiędzy nimi wylądował okazałych rozmiarów talerz z pizzą. Dziewczyna siedząca naprzeciwko uśmiechnęła

się. Była to bowiem pizza wegetariańska. Wcześniej poprosiła Murka, aby ją zamówili, gdyż tylko w ten sposób mogła żyć w harmonii ze światem. Jego zgoda stanowiła ewenement na skalę światową, ponieważ chłopak na ogół nienawidził iść na kompromis, tak samo jak nienawidził jeść warzyw. Ale wystarczyło tylko jedno spojrzenie w jej... w... w jej ciekawą twarz, aby pospieszenie przystać na jej propozycję. Po tym mógł na powrót opuścić wzrok i udawać, że nic złego się nie dzieje.

Mijały kolejne minuty. Murek przeżuwał swój kawałek pizzy z... z pasją godną konesera dobrych smaków. I właśnie wtedy, kiedy myślał, że gorzej już być nie może, drzwi restauracji uchyliły się i uderzyły w zawieszony nad nimi dzwoneczek. Powoli, bez gwałtownych ruchów, tak aby przypadkiem nie zahaczyć wzrokiem o dziewczynę, Murek spojrział nad parawanem w stronę wejścia.

– O Jezu – mruknął pod nosem, wytrzeszczając oczy.

Do pizzerii wszedł młody mężczyzna. Miał na sobie stylową lnianą koszulę z krótkim rękawem, oczy zasłonił ogromnymi okularami muchami, a głowę przyozdobił białym kaszkietem. Na plecach zawiesił czarny plecak. Przystanął w wejściu, aby szybko się rozejrzeć. Chowający się za parawanem łysy łeb naprowadził go na cel. Chocoruszył w stronę ich stolika.

– Murek? – zapytał Choco z niedowierzaniem.

– Ja? – Murka zdziwiło zaskoczenie przyjaciela.

– Murek, to naprawdę ty. – Chłopak uśmiechał się szeroko. – Boże, kupę lat...

Choco uściskał serdecznie przyjaciela, jak gdyby nie widzieli się od kilkunastu lat, a to spotkanie było zupełnie przypadkowe.

Przecież widzieliśmy się, kurwa, godzinę temu – pomyślał zupełnie oniemiały Murek. Nie wiedział, co to za gra, ale przez skórę wyczuwał, że coś jest nie tak.

Choco wyprostował się i nie gasząc uśmiechu na twarzy, odwrócił się w stronę dziewczyny.

– A to jest...?

– Yyyy – Murek próbował sobie przypomnieć imię towarzyszki – yyy, to jest emo.

– Lulu – poprawiła go dziewczyna, wyciągając rękę do nowo przybyłego chłopaka.

Choco uściśnął ją delikatnie, niemalże szarmancko, i ponownie zwrócił się do Murka:

– Nie pisałeś, że masz dziewczynę. Widzę, że wam się powodzi. – Spojrzał na pizzę z warzywami i wtedy na chwilę, na ułamek sekundy, prawie niezauważalnie jego uśmiech przygasł.

I o ile nie zauważyła tego dziewczyna, o tyle wyraźnie zauważył to Murek. Na jego czoło wystąpiły krople potu. Rozejrzał się dookoła i odetchnął z ulgą. Wcześniej był zły na siebie, że knajpa jest pusta. Jego plan zakładał bowiem pokazanie się z tym czymś w miejscu publicznym. Tak aby wszyscy to zauważyli i odnotowali. Teraz jednak zaczynał wierzyć w palec boży, który w cudowny sposób uchronił go od widowni. Jego palący wzrok zatrzymał się na wciąż stojącym obok stolika młodym mężczyźnie w kaszkiecie.

– Cudownie. – Choco pokiwał głową. – Czy nie będzie ci przeszkadzać, Luju...

– Lulu – poprawiła go znów istota na krześle.

– Czy nie będzie ci przeszkadzać... Lulu, jeśli na chwilę, się dosiąde? Bądź co bądź, nie widzieliśmy się

z Murkiem od wielu, wielu lat. Chciałbym choć przez chwilę z nim porozmawiać.

Lulu z aprobatą pokiwała głową.

– Od dawna jesteście przyjaciółmi? – zapytała.

Dosiadając się do stolika, Choco westchnął i teatralnie machnął ręką.

– Oooch tak, bardzo długo. Poznaliśmy się tak dawno temu, że nawet nie potrafię zliczyć lat. Sześć... siedem. W dodatku nasze drogi zeszły się w dość ciekawy sposób.

Zachęcona sposobem, w jaki pogrywał z nią Choco, dziewczyna przysunęła się bliżej stolika.

– A jak konkretnie się poznaliście?

Choco zamilkł na chwilę i spode łba rzucił uśmiech przyjacielowi, by później na powrót obdarzyć nim dziwną kreaturę po drugiej stronie stołu.

– Jak już powiedziałem, to było wiele lat temu. Byliśmy wtedy młodzi i piękni, z czego zostało nam tylko to drugie.

Dziewczyna zachichotała pod nosem.

– Była późna noc, a ja wracałem z pracy...

Na dźwięk słowa „praca” Murek podciągnął brwi. Przecież zarówno on, jak i Choco brzydzili się pracą. Woleli zarabiać w inny sposób.

– ...byłem wtedy jeszcze uczniem i chcąc zaistnieć w branży, musiałem dawać z siebie wszystko – kontynuował Choco.

– Gdzie pracowałeś? – zapytała ponownie Lulu.

– W starej rzeźni. Jako uczeń nie potrafiłem jeszcze oprawiać i przerabiać świń na pyszne i pachnące szynki, więc zaczynałem od uboju. Miałem wtedy tylko siekiere, pamiętasz? – Choco wskazał palcem na Murka. – To były czasy. Wchodziło się do pomieszczenia wielkości tej

knajpy, po którym biegalo mnóstwo świń, i cholera, trzeba było naprawdę mieć krzepę w łapach. Machałem siekierą jak pierdolony ninja. Oczywiście nie za każdym razem trafiałem w łeb. Niektóre dostawały w girę albo w kluk i trzeba było poprawiać. Ale pomińmy przykre szczegóły – dodał, widząc z ukrywaną satysfakcją, jak uśmiech dziewczyny gaśnie w oczach. – Po pracy wracałem do domu. Byłem wyjebany jak bezpiecznik. Nagle na drodze przed sobą widzę samochód na awaryjkach. W pierwszej chwili pomyślałem, że miał miejsce wypadek. Zatrzymałem więc gąbłotę i pobiegłem sprawdzić. Okazało się, że wokół samochodu miotał się szaleńczo Murek. Miał oczy jak talerze. Pod nosem miałeś jeszcze koks. – Choco ponownie zwrócił się do bladego jak ściana chłopaka. Bledsza od niego była tylko dziewczyna. – Biegał naćpany jak kura z ujebanym łbem i powtarzał w kółko, że potrafił rowerzystę. Poszedłem więc szybko na przód jego samochodu, aby sprawdzić, co faktycznie się stało. Na szczęście rowerzysta był tylko wytworem narkomańskiej wyobraźni Murka. Nie było żadnego rowerzysty.

Wydawało się, że zażenowana Lulu odetchnęła z ulgą na wieść, że nie było tam żadnych ofiar w ludziach.

– Ale patrzę – kontynuował Choco – a pod samochodem leży sobie, kurwa, lis. Leży i kwiczy jak ta świnia trafiona siekierą w kluk. Łapę całą mu urwało, a z kikuta krew tryskała po całości. Pffff... – Chłopak zaczął wywijać ręką nad stołem. – Pryska jucha jak kurwa mać... Całą koszulę mi zabryzgało. Niby taki, kurwa, mały lis, a krwi miał chyba z dziesięć litrów. Wtedy patrzę, a Murek idzie do mnie z ostrą jak cholera saperką, którą akurat woził w bagażniku...

- DOŚĆ! - przerwał mu Murek. Nie mógł już słuchać tych bzdur.

- Ale daj mi skończyć, człowieku. Jeszcze do połowy nawet nie doszliśmy. Zanim saperka poszła w ruch, okazało się, że lis... a raczej lisica była w ciąży i... - oburzył się Choco.

Lulu lkała, patrząc z wyrzutem na Murka.

- Jak mogłeś! - rzuciła w jego kierunku.

- Ale ja... - zaczął chłopak.

- No normalnie - dokończył za niego Choco. - Jak jej zapierdolił... Pffffffffff...

Choco znowu zaczął wywijać ręką nad stołem. Wtedy dziewczyna nie wytrzymała, złapała za nóż do pizzy i przyłożyła go do wierzchniej strony ręki. Przycisnęła kosę mocniej i pociągnęła, zostawiając na skórze dość okazałą powierzchowną ranę ciętą.

- O, i proszę. - Choco wskazał na nią i wstał od stołu. - Ketchup do pizzy. Masz swoje alibi.

- Co? - Murek był w szoku.

- Wstawaj i spadamy. No już. Szybciej!

Dziewczyna, nie przestając lkać, patrzyła, jak chłopcy wstają i obchodzą stół dookoła.

- Nie martw się - rzucił do niej Choco na odchodnym. - Idziemy tylko po pomoc. Zaraz wracamy.

Obydwoje wyszli z restauracji, nie oglądając się za siebie. Na dworze panował skwar. Lato w pełni. Mówię o takim lecie, w trakcie którego obowiązuje zakaz podlewania trawników, rodzi się moda na kąpiele w fontannach oraz na umieranie z przegrzania. Chłopcy uwielbiali taką aurę.

Upał jednak nie przeszkodził światu pędzić dalej. Na ulicach było bardzo tłoczno. Obydwoj przyjaciele

z nieukrywanym wstrętem przyglądali się zabieganym i zapracowanym przechodniom. Byli niczym mrówki lub trybiki w wielkiej maszynie. Niemający czasu podziwiać świata, mieli gówniane prace za gówniane pieniądze. Ani Choco, ani też Murek nie chcieli skończyć tak jak oni. I właśnie aby się tego wystrzec, potrzebne im było...

– I chuj strzelił moje alibi – pożalił się Murek.

Choco spojrział na niego ciekawsko.

– A co zamierzałeś zrobić z tym czymś w pizzerii?

– No... Po pierwsze, to nie wiedziałem, że jest emo.

Dopiero jak przyszła do restauracji, zauważyłem pierwszą niedogodność w moim planie.

– Niedogodność. Ładnie to ująłeś.

– Dziękuję. Dalej miałem w planie grać zauroczonego, wyskoczyć do kwiaciarni po bukiet róż dla niej i udawać zakochanego.

Choco zwolnił kroku.

– Kurwa – rzekł pełnym zrozumienia głosem. – Zaczynam żałować, że ci przerwałem. To byłoby coś.

– Ale wszedłeś i alibi strzelił piorun.

Skręcili w boczną, wąską przecznicę, aby na skróty przejść na jedną z głównych ulic miasta. Przeciskając się pomiędzy przechodniami, Choco zaczął grzebać ręką w plecaku, który zdjął z pleców.

– Nie do końca – odezwał się po chwili, wyciągając z tornistra dwie pogięte tekturki.

– Co to? – zaciekawiał się Murek, biorąc od niego jedną.

– Bilety do kina – odparł Choco i wskazał palcem na przedarte przez kasjera miejsce. – Jesteśmy teraz na filmie w kinie. No chyba że chcesz wrócić do swojej laski, to wiem, gdzie jest dobra kwiaciarnia.

– Też wiem. Składałem w jednej podanie o pracę dwa dni temu. Jeszcze nie oddzwonili.

– Składałeś podanie o... o pracę? – zdziwił się Choco. – O taką normalną, uczciwą pracę? Za pensję?

Murek rzucił mu pełne ciepła spojrzenie. Nie musiał nic mówić. To było jak lśnienie. Choco od razu zrozumiał, że ma iść się pierdolić.

– Lepiej mi powiedz, jaki mamy plan działania – podjął po chwili Murek.

– No właśnie... – Choco zmieszał się trochę. Jego pewność siebie ustąpiła miejsca zakłopotaniu. – Bo widzisz... Słyszałeś kiedyś o takiej lasce, co się nazywała Viola Spolin¹?

– Nie.

– Ta kobieta wymyśliła coś, za co dzisiejsi znawcy sztuki nazywają ją geniuszem. Było to coś tak prostego i tym samym pięknego, że można to było powtarzać do woli i nigdy się nie nudziło. Nigdy też nikogo nie zawiodło. To był teatr improwizacji.

– Boże... – Murek zwolnił, zupełnie jak jego serce. – ...nie mamy planu... Powiedz, że to, kurwa, jakiś żart.

– Ale dlaczego nie? Tak sobie uświadomiłem, że plany ograniczają ludzi. Wytarczają im ustalone z góry ścieżki. A co robimy, kiedy plan nas zawodzi w połowie jego wykonania? Miotamy się. Więc ja ci mówię: wejdźmy tam niczym na scenę, mając w głowie wyłącznie postanowienie końcowe, a resztę zaimprovizujemy. Nie będziemy musieli obawiać się, że coś pójdzie nie tak. Musi się udać. Co ty na to?

¹ Viola Spolin (1906–1994) – wprowadziła w życie i promowała grę na scenie poprzez improwizację.

Murek zamyślił się na chwilę.

– No w sumie... Jesteśmy tacy jak ci aktorzy u tej baby w teatrze. Mamy doświadczenie... Wiemy, jak grać.

Choco uśmiechnął się szeroko. Od celu podróży dzieliło ich już tylko kilka kroków.

– No to jak? – zapytał zachęcająco, wyciągając z plecaka dwie czarne kominiarki.

– Można spróbować – odparł Murek, biorąc jedną z nich.

Obydwaj przystanęli w cieniu wielkiego, starego budynku. Wciągnęli na twarze kominiarki i podnieśli swe zamaskowane oblicza, aby spojrzeć na wielki, błyszczący szyld. W okularach, które wcisnął sobie na oczy Choco, odbiły się jego litery: BANK.

– Kurtyna w górę – mruknął chłopak, sięgając ręką za pasek pod plecakiem.

Wyciągnął zza siebie lśniący, srebrny pistolet. Ostatni rzut oka za plecy, by upewnić się, że żaden z przechodniów nie podniósł wzroku wyżej niż na wysokość kolan mijanej osoby, i obaj ruszyli po schodkach ku wejściu. Wzmocnione drzwi obite dębiną ustąpiły lekkiemu pchnięciu do środka. Murek niczym bokser przed wejściem na ring podskoczył kilka razy dla rozgrzewki i rozruszał kark.

Choco uśmiechnął się pod kominiarką na widok zaangażowania współnika w ich najnowszy projekt, po czym odwrócił się, wyciągnął przed siebie broń i wszedł różnym krokiem do środka. Drugi z chłopaków szedł zaraz za nim. Niczym magik pojawiający się na scenie Choco na wstępie wycelował broń w sufit i pociągnął za spust. Huk wystrzału i ze stropu posypały się okruchy tynku, które chwilę później zachrzęściły pod butami idącego

naprzód chłopaka. Teraz wycelował w ludzi zgromadzonych w środku.

– Dzień dobry! Szanowni państwo, chciałbym zakomunikować, że bierzecie udział w happeningu zwanym dalej napadem. A więc wyjaśnijmy sobie zasady. Kiedy powiem „ręce do góry”, wszyscy zgodnie, niczym wyszkolony do tego zespół, podniesiecie łapska do góry. I żadnych numerów z wduszaniem alarmów – rzucił w stronę kasjerki. – Czy wszyscy zrozumieli?

Zadowolony z siebie Choco obrócił się dookoła, aby zobaczyć resztę klientów pozostających przy wejściu na ławeczce dla oczekujących. I wtedy dostrzegł coś dziwnego. Wszyscy ci ludzie, bladzi jak ściany, mieli już podniesione ręce.

– Hej! Nie było jeszcze komendy – zawołał Choco, lecz głos uwiązł mu w gardle, kiedy zobaczył coś jeszcze dziwniejszego.

Stojący obok wejścia Murek patrzył gdzieś w siną dal ponad jego ramieniem. Wycięcie kominiarki na oczy zdawało się robić za małe dla jego oczu powiększających się jak nadmuchiwane helem balony. Powoli zaczął unosić ręce. Choco nic z tego nie rozumiał. Odwrócił się gwałtownie, żeby sprawdzić, w co wpatrzeni są wszyscy obecni. I właśnie w takiej sytuacji można powiedzieć, że wpadło się na rozwiązanie problemu. Nim Choco zdążył odwrócić się o pełne sto osiemdziesiąt stopni, zimna lufa rewolwera dotknęła czubka jego nosa, zatrzymując go w bezruchu w połowie drogi. Powoli i bez głupstw Choco odwrócił wzrok, aby spojrzeć na rosłego, zamaskowanego bandytę w kominiarce, który do niego celował.

– Och – mruknął Choco.

– Rzuć broń – rozkazał facet wielkości goryla.

Oprócz czarnej kominiarki miał na sobie także czarną koszulkę z krótkim rękawem, spodnie tego samego koloru oraz buty w niespotykanym jak dotąd kolorze czarnym. Na nadgarstku średnicy sekwoi kanadyjskiej nosił okazały złoty zegarek, a na kar... a w miejscu, gdzie powinien znajdować się kark, wisiał rozgraniczający głowę od tułowia złoty łańcuch.

Choco przechylił wzrok, aby spojrzeć na sterroryzowanych ludzi dookoła. Wszyscy mieli teraz popuszczane głowy, aby nie patrzeć w oczy bandzirom. Wszyscy oprócz jednej osoby. Młody chłopak, na oko w wieku Choca i Murka, siedzący gdzieś po ich lewej stronie pod ścianą, świdrował pełnym niedowierzania spojrzeniem właśnie Choca.

Młody bandyta zmarszczył czoło. Gdzieś już widział tę twarz. Naszła was kiedyś ochota, żeby powiedzieć przypadkowo napotkanej osobie „dzień dobry”, choć nie wiedzieliście, skąd ją znacie? No to Choco właśnie tak teraz miał. Choć gęba zdawała mu się dziwnie znajoma, nie potrafił jej nigdzie przykleić. Może widział tego kolesia gdzieś w telewizji? To było bardzo możliwe. *Tak, to musiała być telewizja* – tłumaczył sobie w duchu Choco. I aby poszukać potwierdzenia dla swojej tezy, odwrócił się w stronę Murka. Niestety jedyne, co wyrażała jego twarz, to trwanie oszalamiającego stanu szoku i zdziwienia.

– Powiedziałem: rzuć broń – powtórzył wciąż celujący do chłopaka kark-bandyta. – Dołącz do reszty zakładników. I zdejmij kominiarkę.

Choco z prędkością błyskawicy posłał mu pełne „zrozumienia” spojrzenie.

– Możemy o tym jeszcze porozmawiać? – zapytał.

– Co? – zdziwił się rabuś.

– Chodzi mi o maskę... – wytłumaczył chłopak, odwracając się na pięcie i ruszając spacerowym krokiem wokół pomieszczenia.

Bandyta o posturze mutanta nie przestawał do niego celować.

– ...bo widzisz. Nie mam w zwyczaju rozbierać się i rozbierać dla takich amatorów jak ty. Nie jestem taki łatwy, na jakiego wyglądam. Mnie to trzeba piosenkę zaśpiewać, wiersz napisać albo chociaż, kurwa, do kina zabrać.

– Co ty pierdolisz?! – wrzasnął bandyta i poprawił uścisk na rękojeści broni.

Choco przygryzł wargi i z gestem zrezygnowania spojrział w sufit. Była w nim tylko jedna dziura po kuli. Ta, którą sam zrobił, wchodząc i strzelając w górę. Oprócz niej na suficie nie było nawet najmniejszej plamy po komarze. Opuścił wzrok.

– Jak nie znasz wierszy, to zadowolę się twoim imieniem. Co ty na to?

– Przepraszam! – usłyszeli zza siebie głos Murka.

Bandzior drgnął jak oparzony. Przez całe to zamieszanie zrobił się strasznie nerwowy.

– Przepraszam – powtórzył zamaskowany Murek. – Ja chciałbym tylko panu powiedzieć, że nie jestem z nim. A to przebranie... – Wskazał na siebie rękoma. – Urwałem się na chwilkę z żakinady, żeby wziąć kredyt na założenie lokalnego biznesu, i... – Pałące spojrzenie bandyty po drugiej stronie sali mówiło wystarczająco wiele, aby zakończyć ten bełkot. – I... czy mogę usiąść?

– SIAD! – ryknął wielkolud.

Murek podszedł do wolnego krzesła.

– Dziękuję – rzekł, usadawiając się wygodnie. – Jest pan prawdziwym gentlemanem. Rzadkość w tym zawodzie...

– MORDA!

Kolejny ryk wściekłego bandziora wzbudził zainteresowanie jego współników. Dwóch kolejnych zamaskowanych mężczyzn wybiegło z korytarza prowadzącego do skarbcza w piwnicy.

– Co się dzieje? – zapytał jeden z nich, przyglądając się całej sytuacji.

– Dzień dobry – odezwał się Murek.

– O Boże... – mruknął bandyta, który wcześniej próbował opanować sytuację.

Miał już tego wszystkiego serdecznie dość.

– Kto to, kurwa, jest? – zapytał trzeci z bandziorów, taszcząc za sobą okazałych rozmiarów worek.

Choco spojrział na wór i skonsumował go wzrokiem. Wiedział, że jest pełny pieniędzy wyniesionych ze skarbcza. Połowa roboty za nimi. Jeśli uda się odbić wór.

– Laureaci orderu uśmiechu – wytłumaczył bandyta z bronią, którą wciąż mierzył w Choca. – Chcą okraść ten bank.

– Drodzy panowie – odezwał się Choco. – Nie: chcą, lecz tego dokonają. A to wszystko dlatego, że patrzycie teraz na zawodowców.

Z futryny drzwi prowadzącej do skarbcza wynurzył się kolejny, czwarty już oprych. Gdy tylko przekroczył próg, stanął jak wryty.

– Dzień dobry! – krzyknął Murek.

– Proszę panów – przemówił ponownie Choco. – Mam taką małą propozycję, abyście odsunęli się od tego worka. Ty rzucisz replikę broni, którą trzymasz w ręku, a później

wszyscy razem cofniecie się pod ścianę i pozwolicie nam wyjść.

– Rep... co? – zająknął się bandyta z bronią.

Choco uśmiechnął się do niego szeroko. Tak szeroko, że śmiało można było powiedzieć, iż szczerzył się jak głupi do baterijki.

– On ma replikę?! – zapytał Murek, wstając z miejsca i naprężając się pewnie. – Wiedziałem, że to amatorzy. Pfff.

Bandyta wycelował w niego broń.

– Stój! – wrzasnął.

Murek instynktownie się zatrzymał, lecz na jego twarzy również pojawił się uśmiech nasycony pewnością siebie.

– Kim wy w ogóle, kurwa, jesteście? – zapytał zbir.

– Ja wiem!

Usłyszeli nieznamy głos. Należał do młodego mężczyzny o kruczoczarnych włosach i ciemnych oczach, cały czas świdrującego wzrokiem Choca. Wszystkie spojrzenia skupiły się na nim. Nawet zakładnicy spojrzeli w jego kierunku spode łba.

– O kurwa... – mruknął Murek, patrząc na chłopaka.

Rozpoznał go od razu w przeciwieństwie do Choca. Ten drugi natychmiast wycelował broń w młodego mężczyznę.

– Ciiii – mruknął do niego Choco, po czym zwrócił się do Murka: – Ty, znasz go?

Murek klepnął się otwartą dłonią w czoło. Po chwili różnym krokiem ruszył w stronę przyjaciela. Bandyta stojący między nimi wycelował w niego swoją broń.

– Weeeeż, kurwa. – Murek odtrącił lufę ręką i nie zwracając na bandziora większej uwagi, podszedł do swojego

wspólnika. – To Anton White – szepnął do ucha Chocowi. – Pamiętasz, jak jeszcze chodziliśmy do szkoły i raz za karę na biologii musiałem z nim siedzieć?

I właśnie wtedy wszyscy, którzy stali w pobliżu Choca, usłyszeli dziwny cichy trzask. To mięśnie czoła nie wytrzymały naprężenia.

Ten koleś chodził z nimi do klasy! To stąd znam ten paskudny ryj! – uświadomił sobie Choco.

– Co jest grane? – zapytał zakapior za ich plecami.

Choco westchnął.

Czas kończyć tę farsę – pomyślał i odwrócił się od Antona. Z opuszczoną bronią zrobił krok w stronę bandziora.

– Chcesz wiedzieć, kim jesteśmy?

Kolejny krok.

– Jak już wspomniałem wcześniej, jesteśmy zawodowcami. I żeby ta robota była do końca czysta i profesjonalna, proszę, abyście oddali nam worek.

– Taki chuj! – zawołał jeden z „szajki czterech”, który jako ostatni wyszedł ze skarbcza. Wykonał przy tym, zbyt skomplikowany, żeby go opisać, gest rękoma.

Choco zamilkł na chwilę. Ze zrezygnowaniem ponownie spojrział na White’a, który nieustannie palił go spojrzeniem. I właśnie wtedy, nim pojawiło się pytanie „co teraz”, zrodziła się odpowiedź.

– OK, to może jeszcze raz – rzekł Choco. – Bo widzę, że macie jakieś tam trudności z przyswajaniem. Żeby udowodnić wam, że nie żartujemy, proszę, aby wszyscy spojrzeli teraz na mnie! Zrobię coś, co wywoła u was głęboko postępujący szok. Gotowi? Czy wszyscy mnie widzą?

Wszystkie oczy skierowały się w jego stronę.

– Dobra... trzy... cztee... RY!

Choco odwrócił się na pięcie, wyciągnął przed siebie broń i pociągnął za cyngiel. Kula z wielkim hukiem opuściła lufę i poleciała w kierunku czarnowłosego chłopaka pod ścianą. Niestety nie zdołał jej złapać i trafiła go w brzuch. W kolejnej chwili chłopak z rykiem osunął się na posadzkę.

– Ta-da! – zawołał Choco, ponownie odwracając się do zakapiorów z rywalizującego gangu.

Ten z bronią otworzył usta. Wyglądał, jakby chciał coś powiedzieć, lecz głos uwiązł mu w gardle. Murek wyglądał podobnie, choć na swój własny słodki sposób inaczej.

– Coś ty mu, kurwa, zrobił?! – zawołał Murek.

– To jeszcze nic. Zaraz rozpierdolę ich wszystkich, jeśli nie oddadzą mi worka. Słyszeli?

Dopiero po chwili Choco doczekał się jakiegokolwiek reakcji. To czwarty z rabusiów pozostający wciąż w tyle chwycił za worek z pieniędzmi i rzucił go w stronę Choca. Kiedy wór wylądował przed chłopakiem, mężczyzna przemówił. Jego głos był ochryply.

– A bierz, kurwa, ale wiesz, że nie wyjdiesz stąd cało z tym workiem? A nawet jeśli ci się uda, to długo nie pożyczysz. Znajdziemy cię. Jesteśmy ludźmi Imago.

Na dźwięk tego imienia w całym banku zrobiło się dziwnie cicho. I jeśli ktoś wcześniej powstrzymywał się od popadnięcia w panikę, to teraz miał ku temu jeszcze lepszą okazję. Imago. Nawet Murek i Choco wiedzieli, kim jest ów jegomość. I nawet oni odczuwali względem niego respekt... No, może akurat nie w tej chwili, bo... Ciszę przerwał cichy chichot Choca. Z każdą sekundą chłopak śmiał się coraz głośniej.

– Po pierwsze – przemówił przez łzy śmiechu – Imago nie działa w tej branży. Po drugie... to jest właśnie bank,

w którym trzyma część swoich pieniędzy. I głównie dlatego okradamy ten, a nie inny. Jeśli tego nie wiedzieliście, to jesteście prawdziwymi debilami, w pełnym tego słowa znaczeniu. Poważnie. Po trzecie twierdzisz, że nie wyjdziemy stąd z tym workiem. – Wskazał teatralnie na zawiniątko pod nogami. – I tu właśnie pojawiają się pewne niezgodności. Poczekaj, zaraz ci udowodnię.

Choco ruszył w stronę jednego z biurków, za którym siedziała kasjerka z uniesionymi rękoma.

– Proszę pani – zwrócił się do niej Choco. – Mam prośbę. Czy może pani wdusić alarm pod biurkiem?

– CO?! – krzyknął Murek.

– Spokojnie – zwrócił się do niego chłopak, po czym wrócił wzrokiem do kobiety. – Proszę wdusić alarm. Wezwać policję.

Kobieta, nie spuszczać wzroku z bandyty, opuściła jedną z rąk i nacisnęła ukryty pod biurkiem alarm. Gdzieś nad ich głowami zabrzączał dzwonek.

– Ile mamy czasu? – zapytał Choco z uśmiechem na twarzy.

– Trzy minuty – odparła przerażona kobieta.

– Dziękuję... – Choco odwrócił się do Murka i rzucił mu plecak, który zdjął z pleców. – Przepakuj pieniądze. Tyle, ile się da.

Murek wziął się do roboty. W tym czasie drugi z chłopaków wrócił na środek pomieszczenia.

– A teraz wróćmy do tezy, że nie wyjdziemy stąd cało. Wspomniałeś, że nas znajdziecie, ale jedyna osoba, która знаła nasze personalia... – Choco spojrział na ciało chłopaka, do którego strzelił. White leżał bez tchu – ...chyba nie żyje. Za to mnie będzie łatwiej. Proszę teraz wszystkich

o uwagę. Mamy dwie minuty, bądź mniej. Ty. – Wskazał lufą na bandziora z bronią. – Albo nie masz jaj, albo masz w rękę replikę broni, bo od chwili wejścia nie oddałeś ani jednego strzału. Nawet w sufit, żeby trochę wystraszyć ludzi. Po drugie, mówiłeś, że jesteście od Imago, co już zdementowałem. Ludzie Imago nie napadają na banki, bo nie brak im pieniędzy. Ty chyba masz jakiś kredyt w tym banku, że na niego napadasz, co?

– Yyy... – odpowiedział rabuś.

– No i masz niezłą opaleniznę. Jeszcze nie brązowa. Świeża, pewnie byłeś na wakacjach gdzieś za granicą. No ale skoro brak ci funduszy i napadasz na bank, zakładam, że to była jakaś tania oferta z biura podróży.

Zamaskowany mężczyzna opuścił broń i już zaczął otwierać usta, lecz Choco nie zamierzał przestawać.

– Poza tym, kiedy się odzywasz, mówisz z akcentem. Takim samym jak mój znajomy z południowej części miasta.

– Z południowej? – zapytał Murek, kończąc pakowanie pieniędzy.

– Tak. – Choco pokiwał głową i zwrócił się w stronę swego kompana. – A na południu miasta są tylko dwa gangi zajmujące się okradaniem na pełny etat. Jeden znam osobiście, i to nie jesteście wy. Drugi znam z opowieści... i to właśnie jesteście wy. Który z was to lider w tym kabarecie?

Bandzior z bronią podniósł wolną rękę, jak gdyby był odpytywany na lekcji.

– Ja.

Choco uśmiechnął się szeroko.

– Cześć, Zębatka! – zawołał wesoło.

– Skąd znasz moją ksywkę?! – oburzył się rosły bandzior.

– Chętnie bym wytłumaczył, ale...

Wywód przerwał mu Murek:

– To też zabieramy? – zapytał partnera i wyciągnął z torby kilka starych teczek.

Choco cofnął się do niego i wziął je do ręki. Były tekturowe, podniszczone, a na przednich stronach miały wypisane jakieś dziwne nazwiska. Otworzył jedną z nich. W środku znajdowały się akta osób, których nazwiska widniały na przedzie.

– Romero Vinci... – mruknął pod nosem Choco, odczytując po kolei kilka z nich – ...Anal... Sanitas... Zuriel... Durentius...

Zatrzymał się na chwilę. Gdzieś w pamięci zamajaczyło mu stare wspomnienie. Durentius. Znał to nazwisko. Ze starych opowieści. Właściwie zawsze uważał je za legendy. Bajki o dawnych, niezawodnych bandytach zamierzchłych lat. Uwielbiał słuchać takich opowieści. Zawsze chciał być taki jak bohaterowie wielu z nich.

Choco otworzył teczkę z nazwiskiem Durentiusa. Była grubsza od pozostałych. W środku znajdowały się chyba wszystkie dokumenty, jakie mogły kiedykolwiek świadczyć o istnieniu tego człowieka. Teraz przyglądał się aktowi urodzenia.

– Patrz. – Wskazał Murkowi okładkę teczeki.

Chłopak zastygł. Widać było po jego spojrzeniu, że także i on kojarzy to nazwisko.

– Bierzemy – rzucił po chwili Choco. – Mogą być coś warte.

W tej samej chwili gdzieś zza okien budynku usłyszeli przeraźliwy pisk opon zatrzymujących się samochodów

oraz sygnał policyjnych kogutów. W kolejnej sekundzie dobiegł ich uszu harmider wysiadających i rozstawiających się przed wejściem policjantów.

– HA! – Zębatka wskazał na chłopaka palcem. – Nie zdążyliście uciec!

Na jego twarzy zagościł dziwny przejaw triumfu. Choco spojrzal na ręczny zegarek.

– To nie my mieliśmy zdążyć, tylko chłopcy za oknami. – Choco ruszył w stronę drzwi wejściowych.

Murek stał jak wryty. Nie miał pojęcia, co jego kompan tym razem wykombinował.

– Co ty robisz? – zapytał, kiedy Choco minął go i podszedł do drzwi.

– Wychodzimy, ruszaj się – rzucił chłopak w okularach muchach.

– ŻE CO?! – Murek nie wierzył własnym uszom. – Przecież tam jest pełno gliniarzy! Zastrzelą nas i będziemy siedzieć w pierdłu do końca życia!

Choco chwycił za klamkę i westchnął. Później zniżył głos do szeptu i powiedział:

– Jak policzę do trzech, to zdejmujemy kominiarki, rzucaamy je na ziemię i pochyleni wybiegamy z banku z rękoma nad głowami. Resztą zajmę się ja.

– Co ty...

– Kurwa, zaufaj mi wreszcie.

Murek spojrzal przyjacielowi w zamaskowaną twarz. Dopiero po chwili pokiwał głową.

– OK, ale ja liczę.

– Zgoda. Na trzy. – Choco schował za pasek broń, po czym chwycił za kominiarkę na czubku głowy, drugą wolną rękę położył na klamce i czekał na sygnał.

Murek oddychał teraz głębiej. Zanim zaczął odliczanie, poprawił sobie plecak i również przygotował się do zdjęcia kominiarki. Zębatka z resztą gangu przyglądali się im z zaciekawieniem.

- Oni chyba, kurwa, sobie żartują - mruknął jeden z nich tak, że usłyszeli go tylko współnicy pozostający w najbliższym sąsiedztwie.

W końcu Murek wziął ostatni głębszy oddech, pokiwał głową i...

- TRZY! ...

Choco szarpnął klamkę z prędkością światła i zdejmując kominiarkę, wybiegł przed wejście.

- ...CZTE-RY! Kurwa! - dokończył Murek i ruszył w ślad za przyjacielem.

Choco pochyłony niemalże do samej ziemi z rękoma uniesionymi nad głowę zaczął krzyczeć:

- Nie strzelać! Jesteśmy zakładnikami!

Wszystkie lufy broni policjantów skierowały się w ich stronę.

- NIE STRZELAĆ! BANDYCI SĄ W ŚRODKU! JESTEŚMY ZAKŁADNIKAMI!

W połowie drogi pomiędzy radiowozami a bankiem dobiegli do nich funkcjonariusze policji i osłaniając ich własnymi ciałami, pomogli dostać się za barykadę z aut.

- Niżej, niżej! - pouczał ich jeden z policjantów.

W końcu posadzono ich na ziemi za jednym z samochodów. W sekundę później zjawił się przy nich rosły policjant dowodzący całą akcją.

- Gdzie są bandyci?

- Są w banku, panie władzo - odparł Choco, z trudem łapiąc oddech.

O ile Choco grał przerażonego, o tyle Murek grać nie musiał. Był w autentycznym i oryginalnym szoku z atemstem. Nie potrafił z siebie nic wydukać. Siedział za samochodem i z całej siły napierał plecami na jego drzwi, aby zakryć plecak z pieniędzmi, który wciąż miał na sobie.

– Jest ich czterech – rzekł Choco. – To gang Zębatki. Udało im się włamać do skarbcza. – Na te słowa policjant jakby drgnął. – Zabili jednego zakładnika.

– O kurwa mać – mruknął policjant.

– Udało nam się uciec, kiedy kłócili się między sobą.

Policjant pokiwał głową ze zrozumieniem.

– Dziękuję, chłopaki. Zaczekajcie tu, w bezpiecznym miejscu, zaraz pojawi się ambulans. Lekarze zajmą się wami.

Wstał z miejsca i rzucając ostrymi komendami, wrócił do swoich ludzi. Podawał im dopiero co poznane szczegóły dotyczące rozbójników w środku banku. Kiedy policjant zniknął z pola widzenia, Choco przestał sapać jak oszalały, rozejrzał się dookoła i uśmiechnął do Murka.

– Idziemy stąd – szepnęła i ukradkiem na kuckach zaczął się wycofywać.

Niezauważeni przez zaaferowanych policjantów chłopcy po kilkunastu sekundach stanęli przy rogu budynku, za którym ciągnęła się kolejna uliczka. Nim w nią wbiegli, Choco rzucił jeszcze okiem w stronę okien banku. W jednym z nich zobaczył zamaskowaną twarz Zębatki. Jego oczy mogłyby z łatwością wygrać z pomelo w konkursie wielkości. Chłopak teatralnie puścił do niego oczko i zniknął za rogiem.

Murek nadal nic nie mówił. Byli wolni, lecz nie był w stanie wyrazić swojej ulgi. Zamiast tego w czasie marszu

zaczął bawić się telefonem komórkowym. Kiedy Cho-
co obejrzał się za siebie, aby upewnić się, że nikt ich nie
widział i nie śledzi, Murek przytknął telefon do ucha. Po
chwili użył też głosu swojej postaci, choć wydawało się,
że zaniemówi na dłużej.

– Dzień dobry, proszę pani, ja dzwonię z takim pyta-
niem. Dwa dni temu składałem w pani kwiaciarni poda-
nie o pracę i CV... Tak... Czy wiadomo już, kto dostanie
ten etat?